Kebnekaise zimą, czyli Szwecja na zielono

Prolog

Sobota rano, lotnisko we Wrocławiu. Na nim Dzicza rodzinka w komplecie: Aga, Dziku i „Młody obywatel świata”. Po chwili przyjeżdża też Asia, którą Wizzair na tym wyjeździe uczyni przyrodnią matką Michałka. Dziku i Asia targają po pełnym worze mieszczącym się w przepisowych 23 kg. W worach znajdują się rakiety śnieżne i inne sprzęty potrzebne za kołem polarnym. Do tego wszyscy mają po bagażu podręcznym. Łącznie z Michałkiem, którego możnaby do tego jego bagażu całego zmieścić. Na odprawie ochrona pyta Agi, czy w bagażu dziecka jest scyzoryk. Aga zaprzecza, a Pan celnik odgarnie pieluchy i wyciąga Victorinoxa. Michałek nic nie mówi, patrzy w dal udając, że nic o nożu nie wie.

Misja Kebnekaise

W Szwecji witają nas Rafał i Iwonka – współwinowajcy całego zamieszania, bo choć Dziku o wyjeździe do Kiruny i wejściu zimą na Kebnekaise od wielu lat myślał, to jednak nic w tym kierunku nie robił – jeno pogodę sprawdzał. Jak już Asia o to samo zagadała to było prawie pewne, że coś z tego pomysłu wypali. Asia to taka osoba, przy której realizacja pomysłów jakoś łatwiej przychodzi (i umie dobrze wyszukiwać tanie loty). Trzeci członek misji „Kebnekaise” to wspomniany Rafał, którego chwilowa emigracja to znak, że jest to odpowiedni moment na takie przedwsięwzięcie.
Na najbliższy tydzień Aga i Michałek zostają u Iwonki, gdzie rozwinie się jednostronna przyjaźń między małym człowieczkiem i dużym psem – bokserem.



Nasza trójka już następnego dnia leci za Koło Polarne – do Kiruny. Przed odlotem samolot jest pokrywany jakimś środkiem, prawdopodobnie coś na niskie temperatury panujące na północy.
Z samolotu podziwiamy zimowy krajobraz: wielkie pływające kry, zamarznięte jeziora z torami do testowania samochodów, ośnieżone góry. Po ok. 1,5 h lądujemy na ośnieżonym lotnisku w Kirunie. Zupełnie biała płyta i stojący na niej samolot zasługuje na selfie. Następny etap to autobus z lotniska do miasta. Płacimy za niego milion szwedzkich pesos, po czym po 10 minutach jazdy wysiadamy, bo zobaczyliśmy centrum handlowe. Jeszcze wszystkich sklepów nie zdążyli otworzyć a już im się ładują galerianki z Polski. Co nas tak na te zakupy pognało?

Otóż gaz do palników trzeba kupić. Tak, żeby potem śniegu natopić i mieć co jeść i pić.



Ogrzać się na zapas

Kupujemy 5 kartuszy (zużyjemy niecałe 2) i na nogach przechodzimy resztę trasy do miasta. Dokładnie tą samą trasą, którą przejechał wcześniej autobus, który na własne żądanie opuściliśmy. Wszędzie dookoła leżą góry śniegu a mi przychodzi do głowy obraz widziany we Wrocławiu – dwójka dzieci z sankami na brudnym trawniku pokrytym grudami błota pośniegowego, w dodatku tuż przy 3-pasmowej ulicy.
Do odjazdu autobusu do Nikkaluokty mamy kilka godzin. Rozkładamy się w Centrum Kultury w rynku. Jest ciepło, jest toaleta, jest WIFI. Trzeba się nakorzystać bo wieczorem będziemy już w namiocie topić lód na herbatę. Więc Rafał korzysta z grzejników, żeby wysuszyć plecak (podczas lotu wylała się w worze woda z przebitej butelki). Ja korzystam z toalety – na zapas. Asia standardowo korzysta z WIFI. Ona

kiedyś napisze przewodnik – „Szlakiem darmowych WIFI na dalekiej północy”.



Kiruna

Wykorzystujemy ten czas również do poznania historii miasta i zwiedzenia drewnianego kościoła. W środku jakoś inaczej – rzeźby i ołtarz w drewnie, brak zdobień, złoceń. Na ołtarzu wielki obraz przedstawiający łąki i las oświetlone przez słońce. Siły natury budzą tu na północy respekt. Trzeba się w ten trudny klimat wpasować, nie ma sensu z tym walczyć. Dlatego tutejsze dzieci od urodzenia spędzają czas na powietrzu, jeżdżą z rodzicami na nartach lub skuterami śnieżnymi w doczepionych przyczepkach. Dziś w Polsce w święta dzieci najpierw obrzucają się co najwyżej starymi liśćmi, a potem dopiero obejrzą prawdziwy śnieg w tv – w filmie „Kevin sam w domu”.

Na koniec wizyty w kościele mamy okazję zobaczyć, jak wygląda

tutaj obrzęd chrztu takiego kiruńskiego bobasa. Potem wracamy do centrum. Nasze plecaki stoją nietknięte. Wszystkie bagaże zostawiliśmy podsunięte pod ścianę w miejscu publicznym. Kto miałby nam je ruszyć i po co? Kradzież? Obok stoi komputer i drukarka. Na stoliku naklejona kartka: „Używaj tego komptera swobodnie, w budynku jest też darmowe WIFI. Jeśli potrzebujesz wydrukować bilet lub kartę pokładową, wyślij plik na podany adres email i wydrukujemy go dla Ciebie za darmo”.



Zorza polarna

Popołudniu mkniemy oblodzoną szosą w kierunku Nikkaluokty. W autokarze tylko nasza trójka. Kierowca nie przejmuje się warunkami na jezdni i pędzi jak szalony. Przyjeżdżamy o czasie i po przepakowaniu i założeniu rakiet – o 16:30 wyruszamy w długi marsz pod Kebnekaise. Już po 1,5h jesteśmy przy domkach nad jeziorem. Po ciemku rozkładamy namiot i chowamy się do śpiworów. Topimy śnieg, jemy obiad, pijemy herbatę. Robi się bardzo zimno. Do wyjścia z namiotu nie zachęca nas nawet zorza

polarna. Robię niewyraźne zdjęcia wychylając jedynie głowę i stawiając aparat na plecaku.
Wydychana para gromadzi się nad naszymi głowami w postaci lodowych, zbitych w kupki igiełek, które opanowują strefy wokół głów oraz oklejają wiszące pod sufitem 3 pary okularów. Nie wiem jak te śnieżne twory fachowo nazwać więc będę na nie mówił białe kurzyki. Przypominają mi osady z sadzy na piecu, czyli w tym przypadku czarne kurzyki.



Zimny start

Temperaturę mierzymy dopiero koło 8-mej rano, już po wschodzie słońca. Wynosi ona -24 stopnie. Ostro na początek.
Po spakowaniu biwaku wchodzimy na jezioro. Mimo słońca nie mogę rozgrzać stóp. W górach często kopię rakami o stok, żeby pobudzić krążenie, więc tu wpadam na podobny pomysł i kopię rakietami o podłoże. Szybko dokopuję się do twardego lodu. Kiedy parę godzin później wróci krążenie okaże się, że potłukłem sobie palce w jednej ze stóp. Uciążliwe, ale nie

bardzo, więc dla pewności przy pakowaniu parę dni później sobie poprawiam: upuszczam rakiety na gołą stopę i w ten sposób osiągam cel i do dziś mam całkiem fioletowego paznokcia. Ta-dam!



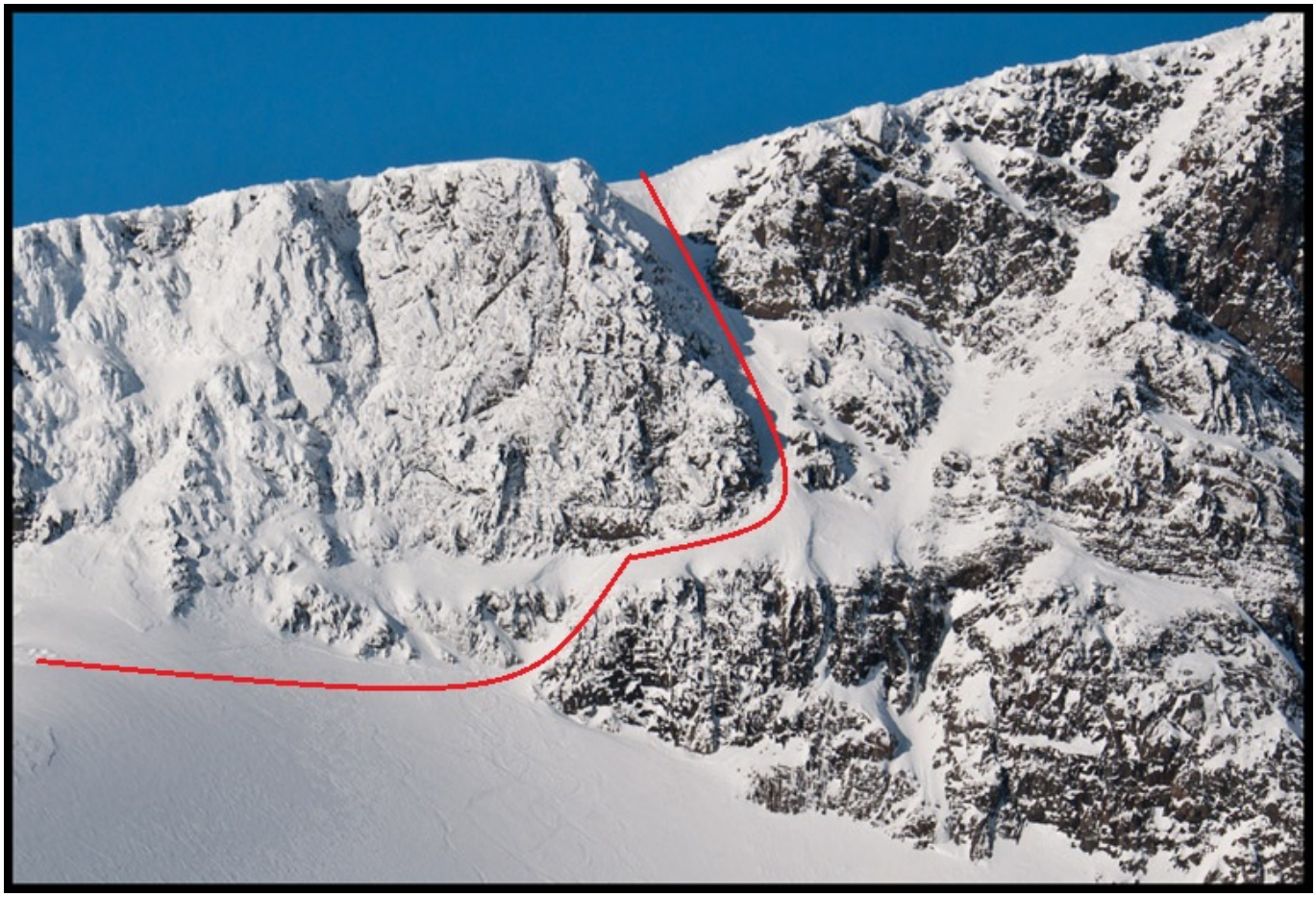
Przy pięknej, bezwietrznej pogodzie już po paru godzinach szybkiego marszu wchodzimy do schroniska Kebnekaise Fjallstation. Tam napełniamy termosy wrzątkiem, jemy liofy i ruszamy w dalszą drogę. Biwak rozkładamy dopiero przy wylocie żlebu prowadzącego na lodowiec pod Kebenkaise. Noc już zdecydowanie cieplejsza, ale nie na tyle, żeby ustawiać na kamieniach aparat i robić zdjęcia. Tzn. nie dla mnie, ale jest na to sposób – zmieniam ustawienia na aparacie i daję go Asi, która odważnie wychodzi ze śpiwora i robi piękne ujęcia namiotu na tle gór i rozgwieżdżonego nieba.



Atak szczytowy

Rano koło 7-mej ruszamy żlebem w górę. Następnie przecinamy lodowiec i grzbietem podchodzimy pod znacznie krótszy, ale bardzo stromy żleb prowadzący na plateau pod szczytem. Tu robi się niebezpiecznie. Pewności siebie dodaje poręczówka założona w ostatnich dniach przez przewodników. Na prowizorycznych lonżach podchodzimy do góry. Pokonując najbardziej stromy

stopień spadają na nas kawałki zamarzniętego śniegu. Dostaję jednym w głowę i żałuję, że nie mam kasku. Dochodzę do punktu i przymocowuję linę. W tym czasie Rafał już mnie bezpiecznie minął i prze do góry. Kiedy asekuruję liną Asię spada mi prosto na ręce zamarznięta bryła wielkości głowy. Adrenalina skacze. Asia przechodzi trudność i szybko opuszczamy to miejsce. Dalej po stopniach wybitych w stromym śniegu wgramolimy się do wylotu żlebu.





Kebnekaise

Wędrując po plateu dochodzimy do jednej, a potem drugiej chatki. Nie czas teraz na odpoczynek. Rafał już zmierza w kierunku śnieżnej, niepozornej kopułki i pierwszy staje na szczycie. Zaraz potem dołączam ja z Asią. W oddali jeszcze efektowniej prezentuje się północny wierzchołek. Asia wraca do chatki a my idziemy granią dalej. Ja już tu raz 8 lat temu pod

szczytem byłem i zawróciłem może 300 metrów od południowego wierzchołka, więc teraz żadnemu z nich nie odpuszczę. Grzech by to był – przy takiej pogodzie.



Bez problemu pokonujemy eksponowaną z jednej strony grań i po 20 minutach robimy sobie zdjęcia na tylko odrobinę niższym wierzchołku północnym. Wracając mądrzę się przed Rafałem i tłumaczę jak się po grani chodzi. Jak się tak rozwodzę to schodzę z wydeptanej ścieżki i widzę nagle przed sobą wcięcie w grani. Jeśli zrobiłbym jeszcze parę kroków spadłbym w parusetmetrowe urwisko. Pokora, pokora i jeszcze raz pokora.
W chatce Asia już gotuje śnieg na liofa. Najpierw się posilimy, a dopiero potem zaczniemy schodzić do wylotu żlebu. Nie śpieszymy się, tym bardziej, że wymagana jest koncentracja. Ubezpieczając się lonżykami i dodatkowo związani liną schodzimy bezpiecznie na dół. Teraz to już tylko długi spacer do namiotu. Próbuję zjechać na tyłku, ale jest za małe nachylenie… ach! Gdybym miał jabłuszko!



Zwiady

Na drugi dzień podchodzimy z Asią pod Tuolpagorni. Dochodzimy do skalnego stopnia i zaglądamy na lewo wychylając się zza skał. Przechodzą mnie dreszcze, bo właśnie patrzę w najbardziej stromą i wysoką ścianę w jaką miałem okazję dotychczas spojrzeć. Czuję, że jest to limit, że nie warto więcej ryzykować. Dane nam było otrzymać od natury piękny dar w postaci doskonałych warunków podczas wejścia na Kebnekaise. To nie jest tu takie oczywiste, bo przez większość dni panuje tu zachmurzenie. Zimą do tego dochodzą niskie temperatury, duże opady śniegu, brak widoczności i silny wiatr. My trafiliśmy w ciemno mając jedynie 4 dni na całość przedsięwzięcia. Stan szlaku przed naszym przyjazdem i prognozy po naszym wyjeździe mówiły jedno – trafiliśmy tak idealnie jak to tylko było możliwe. Zważywszy, że Szwecja była ostatnią luką i „żółtą plamą” na mojej liście wysokiej Korony Europy było to piękne ukoronowanie kontynuowanej bez wytchnienia pasji.



Wracając do ramienia Toulpagorni, na którym się znajdujemy – w dole widzimy kropkę. To Rafał, który pożyczył ze schroniska narty. Czekając aż do nas podejdzie wydeptujemy na zboczu wielkiego, uśmiechniętego ludzika. Rafał zjeżdża a my schodzimy do namiotu. Zwijamy biwak i odwiedzając na krótko schronisko maszerujemy w padającym śniegu dalej. Jeszcze tego samego dnia, o zmroku, stajemy przy promach. Namiot rozkładamy dokładnie w tym samym miejscu co pierwszej nocy. Jest jednak cieplej, myślę, że z parenaście stopni poniżej zera. Rano ustawiam aparat i… Asia wychodzi z nim na zewnątrz porobić zdjęcia biwaku ze wschodzącym słońcem w tle.



Powrót

Po półtorej godzinie marszu jesteśmy w Nikkaluokta. Żegnamy się ze szlakiem na Kebnekaise, oglądając go ze wzgórza z kaplicą. Potem autobusem jedziemy do Kiruny. Jeszcze szybki, spontaniczny wypad do hotelu lodowego, do którego jednak nie wchodzimy ze względu na pośpiech i ceny biletów. Popołudniu wracamy do Kiruny i idziemy na pociąg. Przed nami 18h podróży, z której zdecydowaną większość prześpimy. Na stacji w Kopping witają nas Aga, Iwonka i mały Michałek. Na drugi dzień powrót samolotem do Polski. Koniec przygody. Pozostają zdjęcia i wspomnienia jak ze snu.

Dziku


KEBNEKAISE




LAP
DÅNALDS







